

Tematy tygodnia

- 12 Piotr Pytlakowski
Jędrzej Winiński
Śmieciowe mafie
- 14 Marcin Kołodziejczyk
Nagonka na Brejzów

Polityka

- 18 Mariusz Janicki
Czego boi się władza, a czego nie
- 21 Rafał Kalukin
Symetryczne bajanie
- 24 Ewa Siedlecka
PiS próbuje przejąć Obywateli

Społeczeństwo

- 26 Agnieszka Sowa
Nowe rachunki za wodę – kto zapłaci więcej
- 30 **Co z tą naszą policją jest nie tak** – rozmowa z prof. Ewą Gruzą
- 33 Martyna Bunda
Dzieci osaczone przez cyberporno
- 36 Prof. Krzysztof Jaskułowski
o tym, jak piłka nożna wpływa na poczucie tożsamości narodowej

Rynek

- 38 Adam Grzeszak
Paliwo dla bogaczy
- 42 Cezary Kowanda
RODO na łapu-capu
- 44 Łukasz Wójcik
Nadciąga globalny kryzys?

Świat

- 48 Tomasz Zalewski USA
Współcześni szeryfowie
- 51 Ziemowit Szczerek SERBIA
Dubaj w Belgradzie?
- 54 Agnieszka Żądło UKRAINA
Trudny powrót weteranów z Donbasu

Historia

- 56 Adam Krzemiński
Jak się dzieliła Korea
- 60 Dariusz Łukasiewicz **Kim był Dąbrowski, ten od Mazurka**

12



Kto podpała wysypiska



18

Pięć
lęków
władzy

51



Serbskie szklane domy

100



Tak szykujemy się do mundialu

Nauka

- 64 Paweł Walewski
Aplikacje, które leczą
- 67 Andrzej Hołdys
Kiedy człowiek opuścił Afrykę
- 68 Karol Jałochowski
Freeman Dyson – idealny materiał na wyrocznie

Ludzie i style

- 72 Aleksandra Kozłowska
Jeśli nie komunizm, to co?
- 75 James Montague, autor „Klubu miliarderów”, o tym, czemu służy przejmowanie piłkarskich klubów

Kultura

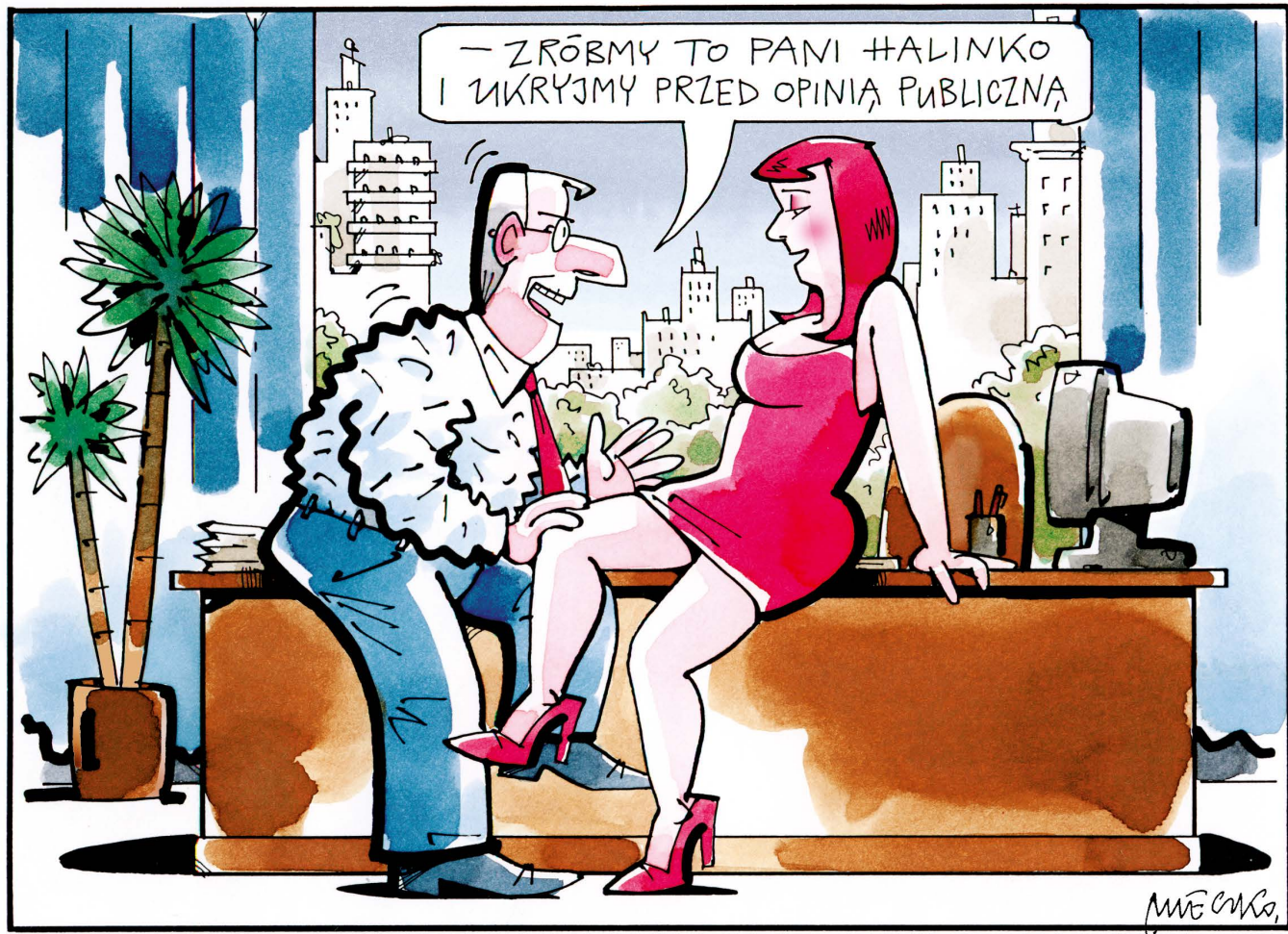
- 82 Edwin Bendyk
Miasta kultury
- 86 Olaf Szewczyk
Zaangażowane gry komputerowe
- 89 MEA PULPA
Kuby Wojewódzkiego
- 90 KAWIARNIA LITERACKA
Jacek Dehnel
- 91 Dorota Szwarcan
Lutosławski w balecie
- 92 Justyna Sobolewska
Literackie satyry na Polskę

Na własne oczy

- 100 Marcin Piątek
fotografie Kuba Atys
Piłkarze izolowani

Stałe rubryki

- 4 Mleczko i Mizerski
- 6 Ludzie i wydarzenia
- 78 Afisz • 94 Passent
- 95 Chutnik i Plebanek
- 96 Stomma • 97 Tym
- 99 Fusy, plusy i minusy
- 106 Polityka i obyczaje



SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Konserwatyzm na zakręcie

Mnożą się dziwne, sprzeczne z rozumem zjawiska, takie jak osoba marszałka Kuchcińskiego, publiczne wystąpienia Andrzeja Dudy czy też szerzenie się kiły w kierownictwie partii Wolność. Przyczyny dwóch pierwszych zjawisk nie są do końca jasne, natomiast jeśli idzie o trzecie, to z informacji dziennika „Fakt” wynika, że kiła dotknęła partię Wolność na skutek ożywionych działań członka jej zarządu i bliskiego współpracownika Janusza Korwin-Mikkego – Grzegorza K., który na partyjnych imprezach nawiązywał kontakty z młodymi sympatyczkami i, jak się okazuje, zarażał je nie tylko konserwatywnymi ideami. „Zapewniał, że jest zdrowy. Uwierzyłam mu” – wyznaje jedna z ofiar, potwierdzając znaną prawdę, że politykom, niestety, nie można wierzyć. Pojawiły się sugestie, że kiła w partii Wolność może być wierzchołkiem góry lodowej i że nosiciele – być może nie tylko w tej partii – jest więcej. Potwierdzałoby to podejrzenia pesymistów, że kiła w polityce występuje od dawna i że może nawet cała polityka to jedna wielka kiła. Na szczęście nie brak również optymistów podkreślających, że lepiej, żeby w polskiej polityce szerzyła się przypadłość tradycyjna i mocno zakorzeniona w kulturze narodowej niż np. obce nam pasożyty i pierwotniaki.



Dla mnie szczególnie przykre jest to, że razem z kiłą pojawiły się niesprawiedliwe ataki na polski konserwatyzm. Do tej pory konserwatyzm był kojarzony z biskupami, ochroną życia poczętego i politykami, takimi jak poseł Żalek czy minister Gowin, ale z kiłą nie. Pojawienie się tej choroby niewątpliwie kładzie się na tym środowisku cieniem, jednak uważam, że wrzucanie jej do jednego worka z Żalkiem czy Gowinem jest nie do końca uzasadnione.

Że nie wszyscy konserwatyści są nosicielami kiły, pokazuje zresztą budujący przykład posła Pięty z PiS, który w wywiadzie dla „Faktu” prezentuje się jako nosiciel wartości, takich jak dobroć i troska o drugiego człowieka. Pięta opowiada, jak zrobiło mu się żal przypadkowo poznanej kobiety, której wygląd sprawił, że w naturalnym odruchu ludzkiej dobroci zaprosił ją na noc do swojego pokoju w Nowym Domu Poselskim, obiecał znaleźć pracę w Orleniu oraz nie wykluczył założenia z nią rodziny, mimo że już jedną miał. Szkoda, że zamiast pochwał, których Pięta zresztą nie oczekiwał, spotkały go za to wyłącznie bezlitosne drwiny i szykany w mediach. „Być może przesadziłem z troską i dobrocią” – wyznaje „Faktowi” poseł, który jednak nie kryje rozczarowania brakiem społecznej empatii i zrozumienia dla konserwatywnych wartości, które uosabia.

LAND ROVER W OFERCIE DLA BIZNESU

landrover.pl



ABOVE & BEYOND



Pokonaj każdą przeszkodę – zarówno w biznesie, jak i na drodze. Tylko teraz, w specjalnej ofercie dla przedsiębiorców – dwa ponadczasowe modele Land Rover w atrakcyjnych cenach.

Cenisz praktyczne rozwiązania? Wybierz najbardziej wszechstronnego SUV-a klasy Premium – **Land Rovera Discovery Sport** dostępnego w wersji 7-osobowej.

Jeśli pociąga Cię niepowtarzalny design – wybierz **Range Rovera Evoque**, kwintesencję elegancji Range Rovera i najwyższego poziomu bezpieczeństwa.

Discovery Sport od 99 900 zł netto

Range Rover Evoque od 104 900 zł netto

Szczegóły oferty u przedstawicieli marki Land Rover. Powyższe ma charakter informacyjny i nie stanowi oświadczenia gwarancyjnego ani oferty handlowej w rozumieniu przepisów kodeksu cywilnego. Oferta dla przedsiębiorców, cena promocyjna modelu Land Rover Discovery Sport 99.900 PLN netto dotyczy wersji 2.0 e4D Pure 150KM manual, cena promocyjna modelu Range Rover Evoque 104.900 PLN netto dotyczy wersji 2.0 e4D Pure 150KM manual.

[Kup książkę](#)



Odwrót ze Wschodu



Jerzy Baczynski

Nareszcie wiemy, co Komisja Europejska planuje w sprawie budżetu Unii na następną siedmioletkę i na jakie ewentualnie pieniądze Polska może liczyć. Ma być mniej, i to dużo: z najważniejszego dla Polski funduszu spójności mielibyśmy w latach 2021–27 otrzymać 64 mld euro, czyli o 20 mld mniej niż w obecnym budżecie.

Traci cała Grupa Wyszehradzka – Komisja Europejska zamierza obciąć fundusze strukturalne dla Polski, Węgier, Czech i Słowacji aż o jedną czwartą, łącznie o ponad 30 mld euro. Natomiast po kilka procent i kilka miliardów zyskają kraje południa Europy. Prawie na pewno o parę miliardów mniej otrzyma polska wieś, z tym że dopłaty bezpośrednie, na których pewnie najbardziej zależy rolnikom, spadną nieznacznie, za to środki na rozwój obszarów wiejskich będą dla nas niższe o prawie 27 proc.

W innych unijnych funduszach zmienione zostaną kryteria przydziału pieniędzy. Do tej pory dominowało kryterium formalne – poziom zamożności danego kraju czy regionu, mierzonego wielkością PKB na mieszkańca. I to oczywiście faworyzowało nowe kraje członkowskie. Teraz te granice dochodowe zostały rozszerzone i o pieniądze pomocowe mogą aplikować także regiony bogate, a decydować będą różne parametry dodatkowe, ustalane przez władze Unii, w ramach tzw. semestru europejskiego, czyli dorocznego przeglądu sytuacji krajów członkowskich. To jest propozycja wyjściowa, teraz zaczną się żmudne negocjacje, ale jak mówią brukselskie urzędnicy, nie mamy co liczyć na jakieś istotne korekty w górę, nawet grożąc wetem. Tyle, najkrócej, co do faktów. Najciekawsze i najważniejsze jest to, co się da z nich odczytać. A zmiany są, jak na Unię, rewolucyjne.

Od czasu wielkiego rozszerzenia Unii o 10 krajów „pokomunistycznej” Europy to one (a głównie Polska) przyjmowały ogromną większość środków przeznaczonych na politykę spójności, czyli wyrównywanie historycznych dysproporcji rozwojowych. To się kończy, formalnie również z powodu sukcesu transformacji „nowej Europy”, która poziomem zamożności bardzo zbliżyła się do unijnej średniej (a Polska w tej konkurencji wyprzedziła ostatnio Grecję i już-już wyprzedza Portugalie).

Ale formalne zestawienia to raczej pretekst niż przyczyna zmiany. Otóż ostatnie lata nie tyle zatarły różnice między dawną i nową Unią, ile je wyostrzyły i pogłębiły. Poszło głównie o sprawy polityczne: tu szokiem była postawa wschodnich Europejczyków wobec ogromnej fali migracyjnej, która uderzyła w południe kontynentu, zwłaszcza Grecję i Włochy. Nakaz solidarności wypełniły wyłącznie państwa Zachodu (przede wszystkim Niemcy) i Północy (Skandynawia), gdyż wschodnia Europa zdecydowanie odmówiła udziału w „nie swoim problemie”. Nadto właściwie cała nowa Unia okazała się niegotowa na absorpcję zachodnich standardów ustrojowych, brnąc w jakieś własne autokratyczno-oligarchiczne mutacje.

Wśród zachodnioeuropejskich elit politycznych, obojętnie prawicowych czy lewicowych, wywołało to głębokie rozczarowanie „niewdzięcznym i niedojrzałym” Wschodem. Zgaśł

entuzjazm rozszerzenia i skłonność do dalszego finansowego wspierania tamtejszych władz i społeczeństw. Unia zdecydowanie dokonuje zwrotu ze Wschodu na Południe kontynentu.

Nie przypadkiem beneficjentami nowego budżetu mają być przede wszystkim kraje starej Unii, ogarnięte kryzysami politycznymi i społecznymi – Włochy, Hiszpania (w tym tygodniu otrzymały nowe rządy) i Grecja, a także, zaniedbane od zawsze, Bułgaria i Rumunia. Dla przyszłości Unii – coraz częściej rozumianej znów jako Zachód – istotniejsze dziś jest uspokojenie i wzmocnienie regionu śródziemnomorskiego niż użeranie się z krajami „międzymorza”.

Ale nie tylko to: Unia zamierza wykorzystać fundusze w ramach polityki spójności do punktowego rozwiązywania problemów społecznych czy gospodarczych tam, gdzie one się rzeczywiście ujawniają: to mogą być Niemcy, Finlandia, Francja, niekoniecznie europejska biedota. Komisja Europejska nie czyni tajemnicy z nowych priorytetów: pieniądze budżetowe mają służyć przede wszystkim obniżeniu bezrobocia wśród młodzieży, integracji imigrantów, dekarbonizacji energetyki, europejskiej polityce obronnej, stabilizacji strefy euro, wzmocnieniu społeczeństwa obywatelskiego. W zasadzie do żadnego z tych nowych priorytetów Polska PiS się nie kwalifikuje.

Zmianie ulega też sama technologia rozdziału środków: zamiast jednolitego algorytmu (głównie PKB na głowę) i automatyzmu, wchodzi polityka – uznaniowe, elastyczne kryteria, osłabienie pozycji regionów (efekt kataloński?) oraz rozszerzenie reguły większości głosów przy podejmowaniu konkretnych decyzji-rozporządzeń. Komisja, niewątpliwie przy akceptacji najsilniejszych krajów UE i wobec utraty politycznych wpływów Europy Wschodniej, okazała wotum nieufności rządowi traktującym Unię jak ścienny bankomat.

Dla PiS zmiana unijnej polityki to raczej dobra wiadomość. Komisja kierowana przez J.C. Junckera raczej już nie będzie walczyć o polską demokrację. Obcięcie dotacji dla Polski – nawet jeśli uznać je za swoiste sankcje polityczne, nie jest groźne: będzie miało jakieś znaczenie tylko wtedy, gdy PiS wygra wybory 2019–20 i okaże się, że np. brakuje pieniędzy na popisowe inwestycje (jak superlotnisko w Baranowie). A korzyści propagandowe mogą być już dzisiaj, według logiki, że każda porażka potwierdza słuszność naszych diagnoz, demaskuje potężnych wrogów Polski na zewnątrz i wewnątrz. Już ruszyły narracje „Tusku, oddaj 20 miliardów euro”, „płacimy za niewypuszczenie terrorystów” i „jeszcze Zachód pożąda, kiedy w Polsce wzrosną nastroje antyunijne”. Z tymi nastrojami to zresztą prawdopodobne, zwłaszcza wobec skrupowanej lojalności, tkwiącą w retorycznym szczękostisku proeuropejskiej opozycji.

Na razie Unia powoli przygotowuje się do separacji: Zachód miałby się integrować wokół strefy euro i planu realnej wzajemnej pomocy, Wschód będzie spychany w coraz mocniej izolowaną – i izolującą się – strefę buforową, Unię gorszego sortu. Sygnał jest jasny: do 2020 r. czekamy, a później to już róbcie, co chcecie.

Jan Koza



© JAN KOZA

KOMENTARZ

Żądajmy
obrony

Ewa Siedlecka



„O tym, czy ustawa o Sądzie Najwyższym jest zgodna z zasadami praworządności, powinni się wypowiedzieć sędziowie Trybunału Sprawiedliwości UE” – petycję wzywającą Komisję Europejską do zaskarżenia ustawy o SN każdy może podpisać na stronie naszademokracja.pl.

Trybunał, przyjmując skargę, mógłby wydać zarządzenie tymczasowe – analogicznie do zarządzenia w sprawie Puszcz Białowieskiej – wstrzymujące „wycinkę” (mającą nastąpić 3 lipca) sędziów SN i NSA, którzy weszli w nowy wiek emerytalny. Tymczasem przebieg piątkowej rozprawy przed Trybunałem Sprawiedliwości w sprawie pytania irlandzkiego sądu o stan praworządności w Polsce może być zimnym prysznicem dla tych, którzy pokładają w Komisji Europejskiej nadzieje obrony polskich sądów.

Pytanie irlandzkiego sądu dotyczyło tego, czy może – w ramach europejskiego nakazu aresztowania (ENA) – wydać Polsce człowieka ściganego za handel narkotykami, skoro reformy rządu PiS dotyczące systemu wymiaru sprawiedliwości podważają zaufanie do niezależności sądów i niezawisłości sędziów. Irlandzka sędzia Aileen Donnelly swoje wątpliwości oparła na opiniach Komisji Weneckiej i unijnych zaleceniach dla Polski wydanych w ramach procedury ochrony praworządności.

Dla Polski gra toczy się o to, czy Trybunał oceni nasz wymiar sprawiedliwości pod kątem spełniania europejskich standardów. Ale dla państw Unii, a także dla samej Komisji Europejskiej, gra toczy się o to, czy ENA nadal będzie się stosować automatycznie, na zasadzie

wzajemnego zaufania do systemów wymiaru sprawiedliwości UE, czy nie. Gdyby zasada automatyzmu została podważona, ENA przestałoby być tak użytecznym środkiem ścigania przestępców na terenie Unii.

Na piątkowej rozprawie tak właśnie argumentowały Węgry i Hiszpania. A także sama Komisja Europejska. Mówiono też, że przecież Polska jest „w dialogu” z Unią w ramach procedury ochrony praworządności, więc póki jest „w dialogu”, nie można – szanując zasadę zaufania – przesądzać nic na temat systemu sądownictwa w Polsce.

Gdyby Trybunał uznał argument, że skoro Polska jest „w dialogu” z Komisją Europejską, to on niczego na temat oceny praworządności w Polsce mówić nie może, oznaczałoby to de facto, że uznaje zwierzchność Komisji. To jest z punktu widzenia niezależności Trybunału nie do pomyślenia.

W automatyzmie ENA jest już wyłom: w sprawie rumuńskiej Trybunał orzekł w 2016 r., że zanim zastosuje się ENA, można sprawdzić, czy w kraju, do którego aresztowany ma być przekazany, nie grozi mu złamanie praw zawartych w Kartie praw podstawowych UE. W sprawie irlandzkiego pytania Trybunał może pójść tym samym tropem. I np. sformułować kryteria oceny, czy wymiar sprawiedliwości spełnia warunki, by stosować do niego zasadę zaufania. Znowu jest precedens: w lutym, przy okazji skargi stowarzyszenia portugalskich sędziów, wypowiedział się, jak należy rozumieć pojęcie sędziowskiej niezawisłości.

Sprawa irlandzka jest pierwszą, ale nie ostatnią. Osoby, firmy i instytucje, które będą w sporze z instytucjami i firmami polskimi, szczególnie w sprawach dotyczących gospodarki, praw pracowniczych i swobodnego przepływu osób, a także danych osobowych (czego dotyczy większość unijnych przepisów) będą się skarżyć do Trybunału na niekorzystne dla siebie rozstrzygnięcia polskich sądów, dowodząc, że nie zostały one wydane przez bezstronny i niezależny sąd. A więc Trybunał nie ucieknie od tego tematu.

Skoro Komisja Europejska w sprawie irlandzkiej nie chce badania polskiego systemu sprawiedliwości, to czy warto kierować do niej apele o zaskarżenie ustawy o Sądzie Najwyższym? Warto. Komisja powinna wiedzieć, że polscy obywatele oczekują od niej obrony. Że nie jest to walka polityczna, ale sprawa praw obywateli Unii. Bo art. 19 Traktatu o UE nakazuje państwom „zapewnienie skutecznej ochrony sądowej w dziedzinach objętych prawem Unii”. A art. 47 Karty praw podstawowych daje „prawo do skutecznego środka prawnego przed sądem” i prawo do „niezawisłego i bezstronnego sądu.

Strzał w Pięte

Stanisław Pięta – mąż, ojciec i konserwatywny poseł – uwiódł samotną kobietę i ją oszukał – doniósł „Fakt” trzy dni przed Bożym Ciałem. Pięta poznał ją na rocznicy smoleńskiej, miał obiecywać małżeństwo, dzieci i pracę w PKN Orlen. Ale po kilku miesiącach zakończył romans. Ona poczuła się oszukana i zwierzyła się dziennikarzom.

Stanisław Pięta, który zapraszał Izabelę Pek na noc do hotelu poselskiego, w Telewizji Republika w cyklu „Polityk też człowiek” opowiadał, że chce, aby jego dziecko „było przywiązane do świętej wiary rzymskokatolickiej”. Innym razem poseł, który – jak twierdzi porzucona kochanka – wysyłał ją do ginekologa, żeby sprawdziła, czy jest gotowa na macierzyństwo, grzmiał na Twitterze: „Albo powstrzymamy lewackich totalitarystów i zdołamy zapobiec degeneracji rodziny i wychowania dzieci, albo Europy nie będzie”. Dziś nie przyznaje się do winy. Idzie w zaparte, że z Pek łączyły go tylko „kwestie

służbowo-organizacyjno-polityczne”. Jedyne, co ma sobie do zarzucenia, to fakt, że „być może przesadziłem z troską i dobrocią”.

Z badania CBOS w 2013 r. wyszło, że 46 proc. Polaków poparłoby kandydata zdradzającego swego małżonka, jeśli uważałoby, że jest kompetentny. Tylko wyborcy prawicowi wycofali by poparcie, bo to dla nich dyskomfort głosować na kogoś, kto żyje inaczej, niż mówi. Dlatego nie ma racji Piotr Skwieciński, pisząc w tygodniku „Sieci”, że poseł Pięta ma prawo do prywatności, a za ujawnianiem jego romansu nie przemawia interes społeczny. Ujawnienie podwójnego życia posła, którego partia i on sam głosi nierozwrotność małżeństwa, leży w interesie prawicowych wyborców, w tym czytelników „Sieci”.

O bóz Zjednoczonej Prawicy wszedł w kolejny kryzys wizerunkowy. Najpierw był kłopot z wyjaśnieniem kto, czy i ile oddał premii, potem prostackie komentarze na temat protestu niepełnosprawnych, a teraz romans posła. Tymczasem Jarosław Kaczyński

wciąż jest w szpitalu i nie ma komu podratować wizerunku.

Na pomoc partii biegnie prorządowy tygodnik „Sieci”. Tłumaczy, że Pięta „stał się celem cynicznej kobiety”, a zdrada małżeńska to efekt „precyzyjnie zaplanowanej operacji”. Powtarzają starą jak świat opowieść o złej kobiecie wodzącej na pokuszenie prawego mężczyzny, i że „ofiar może być więcej”. Niezależna.pl podpowiada Pięcie taką linię obrony: „Krytykował Pan niemiecką politykę historyczną, wykrzywiając obraz Polski, krytykował Pan Unię Europejską, w której Niemcy wiodą prym... Czy komuś mogło się to nie podobać?”. Pięta Pięta, podłapał na Twitterze: „Więc nie musiałem być szczególnie kochany przez niemiecką, polskojęzyczną gazetę”.

Jarosław Kaczyński znany jest z tego, że nie lubi romansowych kryzysów w swoich szeregach, ale czy da się przekonać, że to spisek? Jeśli nie, to Pięta pożegna się z PiS na dobre, jak tylko prezes wyleczy kolano. W poniedziałek został jedynie zawieszony w prawach członka klubu i partii. (DĄB)



Jak grać z władzą

Premier Morawiecki zaatakował „turboliberalną” opozycję i uznał swój rząd za najbardziej prosocjalny ze wszystkich. To zachęta do kolejnych roszczeń i protestów.

Dla socjologa polityki oraz komentatora, który interesuje się tym, jak konflikty społeczne o redystrybucję dochodu narodowego przekładają się na interakcje rządu i podmiotów, które chcą od rządu coś uzyskać dla siebie, przyczyny i przebieg spektakularnego protestu grupki rodziców dzieci niepełnosprawnych i samych dzieci były zjawiskiem fascynującym. Jeśli umieścić ten protest w ciągu wydarzeń przyszłych i spodziewanych, to odsłania on pisowskie arcana imperii (tajemnice rządzenia), by użyć genialnego sformułowania Tacyta.

PiS prowadził kampanię wyborczą i zaczął rządzić, kierując do odbiorców dwa przesłania. Po pierwsze, że jest „wrażliwy społecznie”; po drugie, że jeśli narastające i uzasadnione potrzeby grup społecznych nie były zaspokajane, to dlatego, że poprzednicy kradli. Damy radę, wszystko można, wystarczy nie kraść. Społeczny imposybilizm, by użyć jednego z ulubionych sformułowań Jarosława Kaczyńskiego, został połączony związkiem skutkowo-przyczynowym z domniemanymi patologiami, aferami i złodziejstwem.

Zrealizowany program 500+ uwiarygodnił „dobrą zmianę”. Proszę bardzo, daliśmy dodatki rodzinne, ponad 20 mld w skali roku, a budżet się nie zawalił. Dlaczego? Dlatego, że nie kradniemy. Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to, że do beneficjów natychmiast ustawiła się długa kolejka. Pierwsi w niej byli lekarze rezydenci, którzy mieli uzasadnione roszczenia płacowe, aby zaś je społecznie zalegitymizować, owinęli je woalem postulatu skokowego wzrostu nakładów na ochronę zdrowia. Wszyscy wiedzą, że bez wzrostu tych nakładów system ochrony zdrowia się zawali, choć drugą stroną medalu, o której rezydenci w swoim interesie milczeli, jest to, że bez jego głębokiej reformy, która musiałaby uderzyć w interesy tzw. interesariuszy, czyli przede wszystkim lekarzy, każde pieniądze wepchnięte do systemu zostaną skonsumowane przez czarną dziurę.

Rezydenci wybrali skuteczną taktykę – z jednej strony sobie rotacyjnie głodowali, co budzi pozytywne emocje w tak zwanym społeczeństwie, a z drugiej wypowiadali klauzulę opt-out umożliwiającą pracę ponad 48 godzin tygodniowo, do czego mieli pełne prawo, a czym paraliżowali istotne placówki opieki zdrowotnej. I wygrali. Najistotniejsze dla nich kwestie płacowe są załatwiane, a jeśli chodzi o wzrost publicznych nakładów na ochronę zdrowia do 6 proc. PKB, to wprawdzie rzecz jest palcem na wodzie pisana, ale obecny i jakikolwiek przyszły rząd jest w pułapce. Nie da się, jak mawiał bohater opowiadań odeskich Babla Benia Krzyk, rozmazywać ciągle białej kaszy po białym stole.

Dla socjologa polityki interesujące jest to, że decyzje o przekierowaniu dziesiątków miliardów złotych władza publiczna podjęła poza jakkolwiek rozumianym ładem porozumień zbiorowych. Poza kluczową instytucją politycznych sporów i porozumień, czyli Sejmem, w którym odrzucanym partnerem jest opozycja, która, wiadomo, chce znowu kraść; oraz poza ustawowym miejscem przetargu o redystrybucję, czyli Radą Dialogu Społecznego, która żadnych emocji politycznych nie budzi i dlatego nie jest dla nikogo interesująca. O zmianie redystrybucji w wymiarze parudziesięciu miliardów złotych rocznie obóz władzy zadecydował w wyniku negocjacji i z grupką kilkudziesięciu głodujących „rotacyjnie” lekarzy. To był sygnał, a następni w kolejce dobrze go zrozumieli.

Najpierw zrozumieli rodzice dorosłych dzieci niepełnosprawnych i ich racje były prawnie i moralnie wyjątkowo mocne. Pierwsza okupacja Sejmu przez tę grupę miała miejsce w 2014 r. Z punktu widzenia niepełnosprawnych i ich opiekunów przyniosła połowiczne rezultaty: w ekspresowym tempie przez parlament przeprowadzono ustawę zwiększającą niektóre świadczenia na rzecz niepełnosprawnych, ale szereg problemów pozostało nierozwiązanych. Kolejne postulaty środowisko przedstawiło w protestach pod Kancelarią Premiera w 2017 r. – bez rezultatu.

O drugim proteście okupacyjnym w Sejmie przesądziły dwa czynniki. Po pierwsze, nierealizowanie przez rządy PiS postulatu zrównania renty minimalnej z rentą socjalną i to mimo wyroku Trybunału Konstytucyjnego z 2014 r., który za niekonstytucyjne uznał różnicowanie sytuacji osób niepełnosprawnych ze względu na czas powstania niepełnosprawności. W projekcie budżetu rządu PO-PSL na 2016 r. zarezerwowano na ten cel ponad 600 mln zł, a po objęciu rządów PiS rozwiązanie odłożył na półkę – ważniejsze było 500+. Kroplą, która przełamała czarę, była natomiast tzw. piątka premiera Morawieckiego ze szkolną wyprawką w wysokości 300 zł (koszt w skali roku: 1,5 mld zł), przyznanych na zasadzie dobrego paniska, bo nikt takiego

postulatu nie zgłaszał. Środowisko niepełnosprawnych uznało, że dla obecnej władzy są dziećmi gorszego Boga, a doświadczenie z 2014 r. podpowiadało im, że jeśli chcą cokolwiek uzyskać, muszą wejść do Sejmu i okupować. Tę sprawę wygrali: kurcgalopkiem przez parlament przebiegła ustawa zrównująca rentę socjalną i minimalną.

Teraz na czele kolejki znalazły się pielęgniarki i położne, które zasygnalizowały, że rezydenci rozwiązali swój problem płacowy, ale one nie,

bo dostaną nędzną podwyżkę. I znów skuteczny środek nacisku wskazali im rezydenci: pielęgniarki nie mają możliwości wypowiedzenia klauzuli op-out, ale mogą zbiorowo brać zwolnienia lekarskie – co też w pięciu szpitalach uczyniły, wywalczając podwyżki 500-złotowe. Ponieważ okazało się to skuteczne, można przewidywać rozlanie się tego typu protestu na całą Polskę.

Nie wiadomo, kto po nich stanie na czele kolejki, ale chętni na pewno się znajdą. W odpowiedzi na protest niepełnosprawnych premier Morawiecki zaatakował „turboliberalną” opozycję i uznał swój rząd za najbardziej prosocjalny ze wszystkich możliwych rządów. To była nieprzemyślana zachęta do kolejnych roszczeń i protestów.

Po pierwsze, jeśli ten rząd jest najbardziej prosocjalny, to najłatwiej będzie coś wyszarpać od niego i trzeba się śpieszyć, bo po wyborach w 2019 r. może nastąpić zmiana na „turboliberalny”. Po drugie, każdy obóz władzy, a zwłaszcza taki, który politycznie się legitymizuje swoją prosocjalnością, jest najbardziej kłliwy w roszczenia w okresie wyborczym. A zaczyna się w Polsce maraton wyborczy. Jeżeli grupy i środowiska, które chcą dokonać na swoją korzyść redystrybucji, podzielają to dość proste rozumowanie, to przez najbliższe półtora roku spokoju społecznego w Polsce nie będzie.





SZTUKA Z RENOMOWANYCH GALERII POD JEDNYM ADRESEM

SPRAWDŹ NA
SZTUKA.ALLEGRO.PL



KUPUJ
W APLIKACJI

allegro

[Kup książkę](#)

Kasa dla Włochów, walizki dla innych

Nowy włoski rząd zaczął od najbardziej populistycznych haseł: pozbycie się uchodźców i dochód gwarantowany.

Dwa dni po zaprzysiężeniu nowego rządu Włoch obaj jego liderzy pojawili się na Sycylii. Matteo Salvini, przewodniczący Ligi (dawniej Północnej) i nowy szef MSW, ostrzegał w niedzielne Święto Republiki, że migranci „mogą już zacząć pakować walizki”. Jego prawicowe ugrupowanie bezapelacyjnie wygrało na południu kraju dzięki takim właśnie hasłom. Salvini mówił, że „Sycylia stała się jednym wielkim obozem dla uchodźców”, i zapowiedział, że 5 mld euro, które Włochy przeznaczają na ich utrzymanie, teraz wróci do budżetu, aby można było obniżyć podatki. Z kolei drugi lider koalicji, Luigi di Maio, szef Ruchu 5 Gwiazd i nowego superministerstwa pracy i rozwoju, również na Sycylii mówił o szczegółach zapowiedzianego przez nowy rząd dochodu gwarantowanego. 780 euro miesięcznie mają otrzymywać wszyscy bezrobotni, chyba że odrzucą kolejne trzy oferty pracy.



Matteo Salvini, wicepremier i minister spraw wewnętrznych w nowym rządzie, z wizytą na Sycylii, którą nazywa jednym wielkim obozem dla uchodźców.

Wygląda więc na to, że imigracja i dochód gwarantowany będą pierwszymi tematami nowego rządu, na którego czele, po dłuższych perturbacjach, stanął w piątek Giuseppe Conte, 53-letni profesor prawa bez doświadczenia politycznego. On sam i kilku innych politycznych żółtodziobów w rządzie to efekt kompromisu między Salvinim i di Maio, którzy nie chcą mieć w nim konkurencji. Wielu włoskich

komentatorów uważa jednak, że to przepis na konflikt między tymi ambitnymi politykami i na przyspieszone wybory. Szczególnie że szybko może zabraknąć pieniędzy na jednoczesne spełnienie obietnic Ligi i 5 Gwiazd. „Corriere della Sera” ocenia, że ich koszt netto dla budżetu to nawet 100 mld euro. Salvini już zapowiedział, że pieniądze to nie problem: „Może Bank Włoch w końcu się do czegoś przyda”.

Żegnajcie słomki i waciki



Wolontariusze sprzątający hiszpańską plażę z torbą pełną słomek, plastikowych kubków, folii i wacików.

Jeśli tak dalej pójdzie, ok. 2050 r. będzie pływać w morzach – na wagę – więcej plastiku niż ryb. Co roku 8 mln ton plastików ląduje w oceanach, ze wszystkimi tego nieodwracalnymi konsekwencjami. Między innymi te alarmujące dane sprawiły, że Komisja Europejska przygotowuje dyrektywę, która ma w „drastyczny sposób” ograniczyć zużycie plastikowych przedmiotów jednorazowego użytku. Zakazać używania jednorazowych kubków, talerzy, sztućców, słomek, mieszaadek, wacików na patyczku i patyczków do balonów – bo to one stanowią dziś 70 proc. odpadów morskich w Europie. I zastąpić je czymś bardziej trwałym lub łatwiej biodegradowalnym. Przy okazji planuje się zobowiązać kraje członkowskie, aby do 2025 r. zbierały i poddawały recyklingowi 90 proc. jednorazowych plastikowych butelek. Na świecie przerabia się ponownie jedynie 14 proc. plastików, a 58 proc. papieru i 90 proc. metali – i pora to nadgonić.

Rzecz jasna projekt czeka daleka droga i kolejny test unijnej solidarności. Policzone, że wdrożenie dyrektywy w 2020 r. będzie kosztować przemysł i biznes rocznie ponad 3 mld euro, za to konsumenci zaoszczędzą 6,5 mld, a wszyscy – 22 mld na kosztach sprzątnięcia, powstanie też w Europie 30 tys. nowych miejsc pracy. Od nadużywania jednorazówek można się bez trudu odzwyczaić – pokazują badania Eurobarometru: trzy czwarte ankietowanych Europejczyków przyznało, że bez większego bólu używa teraz o połowę mniej jednorazowych torebek.

Rodzą się rozmaite inicjatywy lokalne: BBC ogłosiło, że do 2020 r. w swoich kantynach i ogólnie wszędzie wycofa jednorazowe opakowania żywności. Sieć Starbucks ufundowała 10 mln nagrody za projekt nowego firmowego kubka do kawy, łatwiejszego w utylizacji. A na greckiej wyspie Sikinos po raz pierwszy w tym roku ogłoszono „wakacje bez plastikowych słomek”. Ryby się cieszą.

O problemach z odpadami czytaj także na s. 12.

Premier rzeczy niemożliwych

Jeszcze dwa lata temu Pedro Sánchez składał mandat posła w proteście przeciwko temu, że jego własna partia dokonała puczu i w roli przewodniczącego zastąpiła go zarządem komisarzy. A teraz nie tylko wrócił do parlamentu ponownie jako szef socjalistów, ale w dodatku doprowadził do, jak się wydawało, niemożliwego: odwołania Mariano Rajoya z funkcji premiera po pierwszym w historii Hiszpanii udanym wotum nieufności.

Pretekstem do pozbycia się dotychczasowego szefa rządu były wyroki kilkudziesięciu lat więzienia dla jego byłych współpracowników, w tym skarbnika jego partii ujawniającego, że ugrupowanie przez lata przyjmowało wielomilionowe łapówki. Ale choć o korupcji wiadano od dawna, a Rajoy był najbardziej niepopularnym politykiem w kraju, to jeszcze w momencie składania wotum nieufności nikt nie wierzył, że w niezwykle podzielonym parlamencie uda się uzbierać wystarczająco dużo głosów do przegłosowania wniosku. Tymczasem Sánchez w ciągu zaledwie kilku dni zdołał przekonać do pomysłu nawet dotychczasowych nieformalnych koalicjantów prawicy. Postawiony przed faktem Rajoy, pierwszy dzień debaty nad swoim odwołaniem spędził więc po prostu w restauracji, a drugiego przyszedł dopiero na sam koniec wygłosić kilkudziesięciu przemówienie pożegnalne.

Dla nowego premiera prawdziwe wyzwania dopiero się jednak zaczynają. Przewodzi rządowi z najmniejszą liczbą posłów w historii Korteżów, po poprzedniku dziedziczy trudny budżet oraz wciąż napiętą sytuację w Katalonii. Tego samego dnia, gdy w Madrycie składał ślubowanie (jako pierwszy bez powoływania się na symbole religijne), w Barcelonie zaprzysięgano ministrów lokalnego rządu, którzy celowo pomijali odniesienia do hiszpańskiej konstytucji lub króla. Zapanowanie nad tym wszystkim będzie trudniejsze niż odwołanie Rajoya.

Polak z konkursu w NATO

Obowiązki cywilnego przedstawiciela NATO przy ONZ w Nowym Jorku – przynajmniej na trzy lata – obejmuje polski dyplomata **Michał Miarka**. Co ciekawe, nie jest wcale spadochroniarzem „dobrej zmiany”, a przedstawicielem pokolenia młodych profesjonalistów, którzy ciężko pracowali przy szczycie NATO w Warszawie, a którym za zasługi podziękowano odsunięciem na boczny tor. Nominacja dla Miarki, zdobyta w wygranym przez niego konkursie, jest dowodem, że odblokowany został dostęp do stanowisk dla Polaków, po kryzysie zaufania, jaki w NATO wywołał sprzeciw Witolda Waszczykowskiego wobec wyjazdu Tomasza Chłonia na placówkę przedstawicielską sojuszu w Moskwie.

Miarka jest czterdziestolatkiem, w dyplomacji pracuje od 15 lat. Ukończył SGH i Akademię Dyplomatyczną, ma dyplomy z Kanady i Szwajcarii. Zaczynał jako stażysta w ambasadzie w Waszyngtonie, w gorącym okresie okupacji Iraku, w której Polska uczestniczyła u boku USA. Cztery lata spędził w Brukseli, w polskim przedstawicielstwie w sojuszu, potem został wiceszefem departamentu polityki bezpieczeństwa. W tej roli był jednym z prawdziwych autorów sukcesu szczytu NATO w Warszawie, za który całość zasług przypisał sobie potem Antoni Macierewicz. Za setki godzin narad, tysiące kilometrów w delegacjach i umiejętność lawirowania między niechęcią części sojuszników do wysiłku wojskowego a faktycznym zagrożeniem, które przyniosły Polsce trwałą obecność wojskową NATO, podziękowano Michałowi Miarce... degradacją. Rok temu zdjęto go z dyrektorskiej posady i obsadzono w roli doradcy. Wtedy zaczął szukać pracy w strukturach sojuszu poza Polską. Z powodzeniem, jak się okazało.



REKLAMA

PRZYGOTUJ SIĘ DO RODO

z **Fellowes**
Brands.

PROMOCJA KUP I WYPRÓBUJ

Niszczarkę automatyczną AutoMax™

Masz aż 30 dni na decyzję,
czy chcesz ją zatrzymać!

Kup nową niszczarkę Fellowes AutoMax™ 350C lub 550C w terminie od 1.04 do 31.07.2018 r.
Jeśli nie będziesz z niej w 100% zadowolony - zwrócimy Ci pieniądze!
Regulamin promocji dostępny na: www.fellowes.pl/RODO

Kup książkę

Fellowes
Brands.

FIRMA RODZINNA
OD 1917 ROKU



Załaduj podajnik



Naciśnij start



Odejdź

Pożar składowiska
odpadów w Zgierzu
pod Łodzią.

Palący problem

Odpady stały się globalnym biznesem, który opłaca się tak jak narkotyki w latach 80. Nic dziwnego, że również w Polsce przejmuje go mafia.

PIOTR PYTLAKOWSKI, JĘDRZEJ WINIECKI

Palące się odpady to bardzo szary biznes. Zakłada się składowisko, a właściwie punkt recyklingu, bo wtedy nie trzeba zgód środowiskowych. Na papierze spełnia się wymagania. W projekcie są więc linie do segregacji odpadów i zabezpieczenia ekologiczne. Samorządy powiatowe wydają pozwolenia przeważnie najpierw na rok, potem na 10 lat. I rusza taśma ze śmieciami.

Za jedną tonę właściciel składowiska dostaje od 150 do ponad 1 tys. zł – w zależności od rodzaju towaru. Śmieci z importu są jeszcze droższe, a najwięcej można skasować za chemikalia z Europy. Ich przywóz wymaga specjalnych zezwoleń, a potem podlega kontroli, dlatego tzw. importerzy wybierają dziki wariant. Beczki trafiają na nielegalne, często skryte place oraz działki leśne czy nadrzeczne. Właściciel działki to wynajęty słup. O takich składowiskach dowiadujemy się dopiero, gdy beczki z chemikaliami tracą szczelność. Niedawno w jednym z polskich lasów znaleziono beczki z ulatniającym się chlorem. Do kogo należały, nie ustalono.

Na legalnych i nielegalnych składowiskach recyklingiem mało kto się przejmuje. Jest za drogi i się nie opłaca. Tak naprawdę to zwykłe wysypiska śmieci, na których góra odpadów rośnie i rośnie, a kiedy na placu brakuje już miejsca na nowy towar, wybuchają pożary. Właściciel upiera się, że to samozapłon, wytworzył się metan, taki przypadek.

Dziki rynek

W tym roku wybuchło już ponad 70 pożarów na placach z odpadami. Najwięcej w kwietniu i maju. Paliło się m.in. w Policach, Radomiu, Trzebini, Gorlicach, Jeleniej Górze. W Jastrzębiu-Zdroju w marcu i kwietniu wybuchły cztery pożary. W Gorzowie Wlkp. w marcu paliło się dwa razy. W maju zapłonęło dzikie wysypisko w Garczegorzu pod Lęborkiem (opony i plastik). A potem Glebnia, Zgierz, Wszedzień. Na początku czerwca m.in. pod Białymstokiem, w sortowni Centrum Innowacyjnej Gospodarki Odpadami w Studziankach, której zamknięcie po niedawnej kontroli rekomendował Wojewódzki Inspektorat Ochrony Środowiska. Kontrolę wszczęto, bo poprzednio płonęło tam w listopadzie.

Pożary to nic nowego, chociaż nie w takim nasileniu jak ostatnio. W 2015 r. składowisko firmy Revita Bio w Bogatyni paliło się aż 13-krotnie. Za każdym razem przyczyną był samozapłon, tak przynajmniej przekonwali właściciele. Straż Pożarna stwierdziła jedynie, że odpady są niewłaściwie składowane. Nikogo nie zainteresowało, dlaczego

w ogóle są składowane, do tego w olbrzymich ilościach. Firma dostała zgodę na gromadzenie śmieci pod warunkiem, że będzie z nich odzyskiwać surowiec. Obiecała wybudowanie zakładu przetwarzającego odpady. Obietnicy nie spełniła i wkrótce znikła z Bogatyni, ale góra śmieci pozostała – co najmniej 36 tys. ton odpadów, które gniły, śmierdziały i paliły się.

O osobach, które działały w spółce Revita, pisaliśmy już 13 lat temu w POLITYCE („Łowcy naiwnych”, 1/05). Wtedy zajmowały się oszukiwaniem samorządów, którym obiecywały – w zamian za promesę dzierżawy gruntów – budowę aquaparków, szpitali i apartamentowców. Niczego nie zbudowano, za to wyłudzone spore kwoty. Teraz ta sama grupa przerzuciła się na biznes śmieciowy. Wokół interesów ze śmieciami umościło się wiele podobnych spółek, bo interes jest niesłychanie opłacalny. Otwierają „punkty recyklingu”, co stanowi alibi dla starostw powiatowych wydających pozwolenia. Oczywiście nikt niczego nie odzyskuje. Chociaż rzecz jasna nie wszyscy w tej branży to oszuści czy – jak ich nazwał minister środowiska Henryk Kowalczyk – mafia śmieciowa.

Z opublikowanego 1 czerwca raportu Najwyższej Izby Kontroli wynika, że w Polsce poziom recyklingu odpadów, zamiast rosnąć, słabnie. Zgodnie z dyrektywą Unii Europejskiej w 2020 r. kraje członkowskie powinny odzyskiwać 50 proc. surowców z odpadów komunalnych. W 2015 r. w przebadanych przez NIK gminach z kilku województw średnio odzyskiwano 35 proc., ale rok później już tylko 31 proc. Jeżeli Polska nie spełni wymogów, od 2020 r. będzie płacić wysokie kary. Kiedy w 2013 r. uchwalano ustawę o gospodarce odpadami, w cyklu artykułów w POLITYCE ostrzegaliśmy, że nowe przepisy są nieprecyzyjne i ułatwiają oszustom żerowanie na branży śmieciowej. Ustawa przerzuciła odpowiedzialność za czystość wyłącznie na samorządy. Gminy ogłaszały przetargi na wywóz odpadów, gdzie głównym kryterium była cena. Wygrywały firmy najtańsze, a przegrywały te, które zainwestowały w technologie.

Warszawska spółka Byś, posiadająca nowoczesne linie do recyklingu, podobnie jak kilkanaście innych spółek w kraju, stanęła w obliczu plajty, bo stała się niekonkurencyjna, czyli za droga. Jak Polska długa i szeroka przetargi wygrywały firmy najtańsze. Nikt nie kontrolował, dokąd trafiają odbierane śmieci. A trafiały na takie składowiska jak w Bogatyni albo po prostu na stare zwirowiska, czyli do dziur w ziemi.

Nie jest to wyłącznie polski problem. Wielu samorządowców czy polityków centralnych ma odwagę powiedzieć ludziom, że za wyprodukowane śmieci muszą płacić drożej, aby było czystiej. Są jednak wyjątki.

Chiny i ekologia

Polski rząd wiąże pożarową serię z zakazem importu stałych odpadów do Chin. Przywódca ChRL Xi Jinping ogłosił na jesiennym zjeździe partii – tym samym, który dał mu niemal cesarską władzę – że będzie tworzył cywilizację ekologiczną. Urzędnicy rozpisali hasło na szczegóły i od początku tego roku nie ma miejsca w Chinach dla przeszło 20 kategorii śmieci (w tym niektóre rodzaje plastiku), kilkanaście kolejnych zostanie dodane do końca przyszłego roku. W pierwszym kwartale 2018 r. Chińczycy sprowadzili ledwie 54 proc. tego, ile w tym samym okresie rok wcześniej, szereg transportów zawrócili na granicy.

Co czwarta tona plastików zwożonych do Chin pochodziła z Unii Europejskiej, która teraz próbuje ratować się ucieczką do przodu. Rozważa m.in. wycofanie słomek, mieszańców do napojów i innych plastikowych przedmiotów jednorazowego użytku. W Hongkongu, będącym tradycyjnym pośrednikiem w handlu makulaturą, wypełniły się nabrzeża, stąd spodziewany jest dalszy wzrost cen papieru. Zmiany niekorzystnie mają odczuć USA, gdzie eksport śmieci daje 155 tys. etatów. Trwa poszukiwanie zastępczych odbiorców, na czele listy jest Wietnam, Tajlandia i Malesja.

Co prawda plastikowy zakaz wprowadzono po długim namyśle, ale w takich przypadkach Chińczycy długo siodłają, za to szybko jadą. Eksperci przewidują, że niewiele dadzą lamente o cierpieniach chińskich importerów albo amerykańskie żądania, by pomyśleć o zarzucić, bo np. w Stanach zaowocuje wysypem nielegalnych składowisk. Gdy przed rokiem zapowiedziano zakaz, serwis Deutsche Welle przypomniał z nostalgią czasy, gdy chińscy fani zachodniej muzyki czekali na dostawy śmieci z Europy. W kontenerach z odpadami płynęły m.in. wyrzucone kasety i płyty zakazanych wykonawców. Bywały zdatne do użytku na tyle, by trafić do podziemnego obiegu. Dziś, puentuje DW, dowolną muzykę puszcza się z internetu, a śmieci w Chinach przestały być błogosławieństwem.

Bogactwo prawie naturalne

Chińczycy na śmieci zbudowali poważną część swojego sukcesu gospodarczego. Państwo Środka ma terytorium rozmiarów Europy, ale stosunkowo niewiele bogactw naturalnych. Śmieć został ich zastępczym źródłem. Od lat 80. z rozmysłem zwożono złom i statki do rozbiórki, bo na uzyskanie z nich stali potrzeba mniej energii niż w procesie przetapiania rudy żelaza. Z kolei sprzęt elektryczny i komputerowy – by wydłubać m.in. metale. Albo plastik, który też taniej przerabiać, niż produkować od podstaw z ropy naftowej. Import plastiku zaczął dynamicznie rosnąć 8–9 lat temu, w okresie ►